

Gołębiowski, Stefan

Mała, "Głos Nauczycielski" 1972, nr 186 :
[przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 12-22

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

W tej chwili stary niczym kościotrup wysunął się z niszy. Podniósł rękę w górę i sięgnął po kaganek, co świecił na kapie. Zbliżył go na wysokość oddechu. Dmuchnął, aż się szyber od komina otworzył. W izbie zapanowała ciemność. Kiedy trzasnęła zapalka, ze starego zostały ino kapie. Kot także gdzieś czmychnął.

Nic więcej nie było widać, ino wielkie oczy.

MAŁA

„Głos Nauczycielski”, 1972, nr 186

Silaczką nie była i nie jest. Drobna, niepokazna. Smukła, prawie dziewczęca, sama o sobie mówiła MAŁA, bo taki przydomek, drugie imię, wyniosła jako najmłodsza z domu. Z matką, poza studiami wyższymi i krótkim okresem zawiedzionego małżeństwa, nigdy się nie rozstawała i jej śmierć tak boleśnie przeżyła, jakby to było zarazem pogrzebanie Małej. Dla podratowania nadszarpniętego serca przestała palić, odzyskała apetyt i przytyła, co z kolei na serce niezbyt korzystnie wpłynęło.

Serce po matce, a po ojcu, co się wcześniej zawinął, zagrożone płuca. Na świat przyszła, na przekór rodzicielce, w trudnych warunkach materialnych i na przekór sobie, nie bez przewrotnego humoru:

— Pchałam się na ten świat, sama nie wiem czemu. I to w jakim czasie? Na rok przed pierwszą wojną światową. Na wojnę prędzej syn, a nie córka. Stworzenie słabe i kruche.

Dzieciństwo dalekie, ukraińskie, w zamęcie wrzeń rewolucyjnych. Fronty wybuchały ze wszystkich stron. Ginęli ludzie od kul, padali dziesiątkowani przez głód i tyfus.

Potem powrót w strony rodzinne, prawie mickiewiczowskie. Mała, może dlatego, że mała, w natłoku, w popłochu zdarzeń, osłonięta czułymi ramionami, nie zginęła i dalej mogła pchać się do życia. Do wiosny, która w pamięci zakwitła bzami pierwszych imienin.

Na zabawy dziecięce czasu nie było. W poprzek stanęła szkoła. Nie w poprzek, tylko naprzeciw wyszła. Lata pełne wrażeń, niezapomniane. Lekcje, koleżanki, nauczyciele, figle mądrości, niebываłe pomysły. Odwet za dzieciństwo stracone, bez uśmiechu.

Szkołę pokochała pierwszą miłością. Ze szkoły wyszła i po studiach wyższych do szkoły wróciła. Z językiem francuskim jako magister i nauczycielka po stażu i egzaminie pedagogicznym. Uczyc języka i to francuskiego w warunkach mowy topornej. Można gardło zerwać.

Do obciążeń dziedzicznych serca i płuc doczepiły się choroby zawodowe z nadrywania głosu i z przeforsowania nóg. Żeby być bliżej ucznia, żeby go bezpośrednio instruować i lepiej w niedociągnięciach mowy słyszeć.

Na domiar złego doszły jeszcze dolegliwości miejscowe. Jako nauczycielka rzucona na zapadłą prowincję przez los? Przypadek? Przeznaczenie? Znalazła się w okolicy niezdrowej.

Tereny, do niedawna bagienne, powietrze przesycone wilgocią sprzyjały łamaniom w kościach, obrzękom i niedowładom mięśni. Do dalej idących następstw nie doszło jedynie dzięki osobistej żywotności i ruchliwości.

Do lekarzy od czasu do czasu zwraca się, ale im w gruncie rzeczy nie wierzy. Woli sama w książkach lekarskich szukać diagnoz i odpowiednich leków. Od biedy materiał na lekarza. Drugie powołanie, jakie z biegiem lat w samej sobie odkryła.

Ma w tej profesji zacięcie, spostrzegawczość w tropieniu choroby i zdolność radzenia sobie w pierwszej potrzebie, jakże przydatną w internacie dla dziewcząt. Dla dyżurów u drzwi małego dzwonka, który natarczywie terkocze w różnych porach dnia i nocy. W piątek i w świątek.

Mała w ostrym pogotowiu, wydobyta z własnych niedomogów fizycznych, czuwa. Niezawodna w pierwszej potrzebie, w chwilach krytycznych samą obecnością krzepi i dodaje ducha. Leczeniem siebie innych leczy.

W trudnych sytuacjach pełna zaradności i energii, w życiu wcale odwagą nie grzeszy. Z usposobienia trwożna za lada niepokojem żyje strachem i lękiem aż do przesady. Jakby to były nic tylko strachy, lecz zadawnione obsesje i fobie z dzieciństwa wojną zagrożonego.

Do tego wychowana w mieście i najlepiej czująca się w środowisku miejskim, na ironię, drugą połowę życia, z perspektywą lat następnych, spędza na wsi, gdzie z natury rzeczy częściej się musi stykać z oswojonymi zwierzętami. A nie ma do nich zaufania.

Między końmi za żadne skarby nie przejdzie. Kiedy krowy wracają z pastwiska, panicznie umyka. Jakby godziły w nią wszystkie

rogi pocziwych stworzeń. O zmierzchu z obawy przed psem biegnie płochliwa jak sarna w trwożliwej przezorności.

Za to lubi ptactwo. Zwłaszcza gołębie. Z natury trwożne i płochliwe, jak trzepot rzęs i serca. Zdobyły chwile oddechu, nowe pauzy z godzin pozaszkolnych, na dziedzińcu — powietrzne i na poddaszu — gołębnikowe.

Znakomicie zorientowana w stosunkach gołębich. Kto ma się do kogo i w jakich zamiarach. Kto kogo wabi, dziobkiem całuje. Kto zdradza swoją małżonkę. Która kochanka do siebie nie dopuszcza. Które najpiękniej gruchają. Przecież nie darmo mówi się o sercach gołębich.

A do tego dochodzą uczucia macierzyńskie. Ptasie, wzajemne wysiadywanie i karmienie piskląt. Piecza nad gniazdkiem. Obrastanie w piórka, skrzydełek niezgrabne podfruwajki aż do pierwszego lotu.

Na zawsze została jedna taka chwila. Młodziotka para gołębi pod niebem wyżej i niżej zatacza koła bez wychnienia. Krąży nad dachami, strzela w niebo i dwiema białymi błyskawicami spada na komin. Szuka i nie może znaleźć gniazda, z którego wyfrunęła. Trudna lekcja życia. Stoi w oknie klasy ze łzami w oczach. Uczniowie nie wiedzą dlaczego.

Obłaskawione — dopóki z mieszkaniem w nowej szkole nie musiała się z nimi, niestety, rozstać — jadły z ręki, siadały na ramionach, na głowie, jakby chciały panią swoją uskrzydlić i uczynić w wolnej przestrzeni władczynią białych i zarazem niebieskich zalotników.

Gołębie były premią błękitu i pogody, ale niech się na niebie pojawią chmury, zwłaszcza te ciemne, złowrogie, już cała radość pierzcha. Zamiast trzepotu skrzydeł, gwałtowny, nieopisany trzepot serca.

Wśród błyskawic, grzmotów i piorunów wciąż jeszcze najlepiej widać dawną Małą, która od pierwszych szrapneli, od pocisków z dzieciństwa nadal lęka się, żeby nie zginąć wśród srożących się żywiołów.

Traci panowanie nad sobą, choćby zaszyta w najgłębszym kącie, truchleje. Niebu nie dowierza, a zwłaszcza wiatrom, które jak na złość mogą znów się spiknąć i zagrozić nawałnicą ze strony zgoła nieoczekiwanej. Mimo piorunochronów, burzom nie ufa.

Okna na szczęście błękitem błyskają. Można otwartymi odetchnąć. Jednak i dom nie jest ostoją bezpieczeństwa. Drewniane domy i stodoły, rozsadniki ognia, kryją w sobie potencjalne zarzewie. Wystarczy zapalka, pierwsza lepsza nieostrożność i już w oknach goreje luna.

Pożar. Syrena stawia na nogi przerażoną. Ze ściśniętym gardłem Mała wybiega na ulicę i nie wraca do siebie, póki nie zlokalizuje słupów ognistych nad wiejskimi strzechami.

Dzięki ogniowemu zaangażowaniu internat na pół drewniany ma zagwarantowane bezpieczeństwo. Kominy i piece znajdują się pod stałym nadzorem. Kuchenki i żelazka elektryczne mają swoje własne miejsce cenzurowane. Z naszą panią, jak z ogniem, nie ma żartów.

Przejawy tego rodzaju słabości nieraz na ustach ludzi wywołują uśmiech, iskry humoru w oczach. Mała nie przestała być Małą. Stąd naturalna życzliwość, że siłaczką wcale nie jest.

Mogłoby się wydawać, że przy takim wyposażeniu fizycznym i psychicznym Mała w swej pracy zawodowej miała wszystkie szanse być małą. A tymczasem nic podobnego.

Z chwilą, kiedy wchodzi na teren szkoły, można by rzec, ulega psychicznej przemianie. Jeszcze w większym stopniu to widać, kiedy po drugim dzwonku zjawia się w klasie. Jakby istniał pomiędzy nią a klasą związek zwielokrotniony, umacniający siły.

Siły to za mało. Dochodzi do nich jeszcze jakiś dar komponowania toku lekcyjnego. Do pewnego stopnia jak w szkole teatralnej u profesora, który początkującym aktorom ustawia głos, żeby mogli wydobyć właściwy w barwie, poprawny i dobrze przyswojony w artykulacji i w intonacji.

Wnieść do języka obcego nurt żywej mowy i nadać strumieniowi bieg naturalny w jej przekonaniu należy do zadań równie trudnych, jak nauczanie elementarne. A zaniedbania z tego okresu w języku takim, jak francuski, mszczą się bardziej niż w ojczystym, gdzie do nauczania szkolnego dochodzi książka, radio, telewizja i całe mniej lub więcej kulturalne środowisko językowe. Tymczasem język obcy jest nade wszystko klasowy.

Sama jest wzorem. Nie darmo dwukrotnie wyjeżdża do Francji wysyłana przez ministerstwo. Do siebie kieruje oczy całej klasy, która wierzy swojej pani, gotowa na każde skinienie.

Już najlepsi zaczynają w swoim małym zasobie parlować. Syzyfowa, wyczerpująca praca przestaje być syzyfową i zaczyna jak wiosna pączkować. Czas na podręcznik i nowa troska, żeby uczniowie nie stali się jego niewolnikami, lecz wyzwoleńcami.

Celują najzdolniejsi. Za nimi mniej zdolni, lecz za to pilni. Ławą idą średniacy. Nawet i słabsi dotrzymują kroku. Najgorzej z najsłabszymi. Zrywanie gardła i szarpanie nerwów, niestety, do nich należy.

Jak ustawić klasę, żeby nie została z ciurami w tyle. Dzieci chłopskie mają to do siebie, że wzorem ojców lubią iść hurmem. W ogniu wlec się nie honor. Najlepiej w gromadzie i żeby w niej tkwić, uciekają się do wybiegów. Zresztą dobrze znanych całej młodzieży.

Są dwie uczennice, które jak szczyty nad poziomem górują. Podziw bierze, w tak trudnej wymowie, zwłaszcza samogłosek, w zwrotach językowych, w formach czasowych, zdaniowych i w całym bogactwie słownictwa, w chórze klasowym przewodzą. Otrzymują najlepsze oceny i wciąż chcą być pierwszymi. Pani wyróżniła je i popadła we własną matnię.

Zaczyna zapędy hamować. Na próżno. Przy odpowiedziach uczniów słabszych nie wytrzymują. Przecież to takie łatwe. Półgłosem wiszą na wargach. Zagrożonym wystarcza. W tamtą stronę kierują słuch. Raz i drugi udało się. Już coraz mniej zaczynają słabeusze wierzyć w swoje siły. Wierzą w obce. Wszak to język obcy. Słyszy szyderczą uwagę.

Nie pomagają prośby ani groźby. Nie pomaga przesadzenie na końcowe ławki. Telefon bez drutu biegnie przez całą klasę. O, słabości pedagogiczna! W irytacji ostrzegawczy zapis w dzienniku jeden, drugi, trzeci, za łada potknięcie mniej pochlebna ocena, odwołanie się do rodziców, zagrożenie sprawowania. Po półroczu dopiero nadeszło utemperowanie i nagroda: pierwsze miejsce na wojewódzkiej olimpiadzie.

Poza tym zmienne szczęście przez trzy okresy. Tu się front piętrzy, tam rwie. Czujność nieustanna. Z pozycji mocniejszych atakowanie słabszych. Podręcznik chudnie aż do wyczerpania, żeby potem wracać partiami, w partyzantce, tu i tam na wrywki.

Wiosna, pora najbardziej atrakcyjna, wymaga większego urozmaicenia i znacznie żywszego biegu lekcji. Pomoce naukowe, które w ciągu roku grały ważną rolę, ale nie taką, żeby osłabiać tempo toku lekcyjnego, teraz wysuwają się na czoło. Wracają płyty, idzie w ruch magnetofon — dla głosu, tablice flanelowe z obrazkami własnej roboty — dla oczu. Towarzyszą im fingowane dialogi, scenki rozdzielone na głosy. Kontrole i poprawki trybunału śledczego. Cały aparat dowodowy i rzeczowy w oparciu o podręcznik i miarodajne profesorskie uczestnictwo.

W tej pierwszej klasie wielkość Małej objawia się w całej pełni. Na wyższym poziomie jeszcze istnieje w drugiej, ale już w trzeciej następuje stopniowy regres. Podręcznik i język literacki klasyków zaczyna górować. W odczuciu ucznia jakby język z martwym się zetknął i przestał być żywym. O czwartej wobec matury już nie ma co mówić. Bezradnie kończy Mała.

Sukces połowiczny i dla klas starszych wciąż otwarty problem programu i podręczników.

Na szczęście w odwodzie język rosyjski. Osłuchała się z nim na kresach od dzieciństwa.

W czasie ostatniej wojny uczyła z powodzeniem w dziesięciolatce, a po wojnie dzięki zaocznemu doksztalcaniu zdobyła drugi, po magisterium języka francuskiego, dyplom nauczycielski.

W ten sposób naukę języka francuskiego, swoistego rodzaju *de bello Gallico*, przeplotła nauką języka rosyjskiego, swoistego rodzaju *de bello civili*. O wojnie domowej, a raczej klasowej, ze złymi nawykami nie tylko w akcencie, mówi przede wszystkim pierwszy rok nie tyle nauczania, ile oduczania, co znacznie trudniejsze.

Nie ten jednak rok pierwszy, lecz dopiero następne pokazują, do czego jest zdolna. Z żywą konwersacją wiąże lekturę opowiadań, nowel i powieści z własnej ufundowanej wspólnym wysiłkiem biblioteczki. Niezawodny sposób kształcenia smaku na klasykach.

Dziwne, na lekcjach języka francuskiego nie wyszło. Może powodem za mała liczba lat nauki, może za mała liczba godzin w planie tygodniowym, większa obcość języka, mniejszy zasób słów.

Z językiem żywym i urozmaiconym młodzież styka się bezpośrednio przez masowo prenumerowaną pionierską i komsomolską prasę radziecką, która przy słabszej odpowiedzi jest ostatnią deską ratunku.

Poza żywą konwersacją i lekturą całą swoją pracę opiera na fundamentach gramatyki, którą uczniowie nieraz lepiej znają od polskiej. Gramatyka traktowana nie żartem, lecz na serio. Gramatyka i czytelnictwo decydują o ustaleniu ocen wahających się w różnych stopniach skali.

Zadziwia lekcjami. Szczególnie w klasach starszych. Już samym swoim czytaniem wzbudza podziw dla języka. Jej Puszkini gra wszystkimi odcieniami poezji. Jej Turgieniew, Tołstoj, Czechow, Gorki oddycha własną, autonomiczną frazą. Już samo odczytanie zachęca do powrotnego czytania.

Lekcja przygotowana i jednocześnie improwizowana, bo na takie tory sprowadziły ją odpowiedzi uczniów. Bez szkody dla całości jednostki lekcyjnej. Wyzuta ze schematyzmu i bezduszości.

Lekcja leninowska, Iljicz wyziera z obrazu, wchodzi do prozy, przemawia głosem poezji, objawia się plastycznie w portretach i wkracza do sekwencji filmowych. Staje się artystycznie i wychowawczo wielowymiarowy, a dzięki temu bardziej żywy.

Poza lekcjami dla miłośników atrakcyjne Kółko, przygotowane con amore wiersze, inscenizacje rocznicowe akademie, wystawy podziwu godne, akcje upowszechniania Przyjaźni, ogniwa wiążące i zbliżające, dzięki którym jej uczniowie — nie tylko uczestnicy olimpiad — nie mają żadnych trudności, żeby dalej studiować. Dowodem tego rusycyści na różnych szczeblach nauczania w promieniu trzech najbliższych powiatów.

Mała w ten sposób pomnożona wyrasta na wielkość.

Mała — nauczyciel z powołania. To za mało. Nauczyciel i wychowawca w jednej osobie. Uwikłany w szereg trudności natury przedmiotowej. Programy na wyrost, podręczniki na bardzo różnym poziomie, wyniki i sprawność przy słabym przygotowaniu uczniów podbijane do coraz wyższych procentów, jakby to był mechaniczny zakład produkcyjny, braki kadry nauczycielskiej i jej nadmierne przeciążenie pracami pozaszkolnymi nie stwarzają korzystnych warunków dla rozwoju systemu nauczania.

Przy podobnym stanie rzeczy stoi otworem albo droga najmniejszego oporu, patrzenia przez palce, machania ręką, albo perspektywa użerania się na dwa fronty: w klasie — z uczniami, w pokoju nauczycielskim — z nauczycielami. Wymowny podział między klasą i pokojem, lekcją a pauzą.

W tych warunkach, nawet najbardziej uczciwy nauczyciel-wychowawca, nie może mieć czystego sumienia. Samorząd klasowy, jeśli aktywny, łatwo popada w konflikty z wszelkiego rodzaju miglancami, jeśli bierny — traci sens swego istnienia.

Jak zorganizować społeczność klasową, żeby lepsi pomagali słabszym, jak kolegów nakłonić do bardziej rytmicznego przepytywania, jak przemówić do rodziców i wiele innych „jak” nie dają Małej spokoju w dzień, a w nocy sen spędzają z powiek.

Mimo to nie szuka taniej popularności ani łatwizny. Nie boi się trudnych chłopców. Ma swoją taktykę postępowania. Dziewczęta, które

się do niej garną, traktuje z pewną rezerwą, żeby za bardzo nie liczyły na względy i nie szukały dla siebie łatwych sukcesów. Chłopcy może to wyczuwają i pomagają Pani swoją solidarnością, żeby w trudnych sytuacjach mieć w rezerwie społecznego sojusznika. Do pewnych granic z odwołaniem się do organizacji młodzieżowej.

Na godzinach wychowawczych ma z nich nie lada referentów i dyskutantów, gdyż w zagadnieniach politycznych i społecznych są zdumiewająco au courant. Jakby się do nich urodzili.

Oczy się śmieją, kiedy o nich mówi. Za to nie znosi błaznów. Szkoła to nie cyrk. Błazen pragnie za wszelką cenę zwrócić na siebie uwagę klasy i nie przebiera w środkach rozbawienia. Dezorganizuje lekcję, wyczerpuje cierpliwość. Tym bardziej, że błazen w szkole, a pijak w życiu zawsze znajdą swoich niepowołanych obrońców.

Nic podobnego. Sensatką nie jest. Wesoła i żywa, lubi śmiać się i bawić z młodzieżą, jakby była uczniów swoich rówieśnicą, lubi rozgrywki i uczestniczy w imprezach klasowych.

Dzień Olimpijczyka. Mecz dwu drużyn: wieś i miasto. Bez naszej Pani nie wygramy. Klasowi kibice kołaczą do drzwi. Przeziębioną, w oplakany stan wbrew woli wyciągają.

Sala, obwieszona na drabinkach uczniami, szaleje. Drużyna nabiera animuszu. Padają gole za golami. Nieoczekiwane zwycięstwo. Dzięki Pani. Nie ma piękniejszego podziękowania.

Chłopcy towarzyszą Pani. Już niedługo po maturze odejdą. Co innego dziewczęta. Jak pierwsze kochanie, wierne na długo zostaną. Będą pisać do swej Pani o studiach, o szczęściu i troskach. Będą dalej szukać rady i życzliwości.

Depesza. W pokoju nauczycielskim poruszenie. Od syna? Nie. Od byłej uczennicy. Zdałam egzamin. Dobra zapowiedź trudniejszego. W życiu.

Związki z klasą i szkołą pogłębia zwłaszcza internat. W obcowaniu bardziej osobistym, w zastępczym domu i w zastępczej rodzinie. Przy odrabianiu lekcji, utrzymaniu możliwej ciszy, porządku, czystości. Dochodzi do zbliżeń, w kręgu wzajemnego zaufania do zwierzeń. Wychodzą na jaw sprawy szkolne i związane z lekcjami i nauczycielami, koleżeńskie i domowe. Wieczne zmartwienia, jakimi żyją dzieci i rodzice.

Nie można się jednak za daleko posuwać i zbyt ufać. Niektóre dziewczęta mają dar koloryzowania. Chcą siebie przedstawić w ko-

rzystniejszym świetle albo malują warunki domowe tak, żeby na przyszłość zdobyć powody wyrozumiałości i zatroskania.

Dziewczynka, w godzinie wolnej między szkołą a internatem, dzwoni. Drzwi się otwierają. Stoi bezradne biedactwo i pochlipuje. Co ci jest? Babunia umarła. Dla przygarniętej, ugłaskanej wolna droga.

Uszczęśliwiona biegnie do PKS bynajmniej nie na pogrzeb, babunia na szczęście zdrowa, lecz na spotkanie z młodzieńcem, któremu wpadła w oko. Kawaler z brodą zakpił sobie ze smarkatej i odjechał z narzeczoną. Zapłakana wraca z pogrzebu własnych rozczarowań do internatu i wpada w ramiona pani wystrychniętej na dudka.

Wypadek sporadyczny. Nie tak bardzo. Budynek narożny z oknami na rynek. Pod oknami i pod drzwiami wciąż się kręca kawalerczaki. Dla próżności dziewcząt satysfakcja, chociaż z buzią w ciup udają niewiniątka.

To na zewnątrz, a od wewnątrz kłopoty z własnymi uczniami, gdyż internat żeński z męskim łączy wspólny dziedziniec. Do chłopców, gdzie nie ma tak ścisłej kontroli, przychodzą koledzy pod wąsem golonym, żeby być trochę bliżej swych sympatii.

Nieraz są to już panny na wydaniu. Trudna rada z takimi. Nawet małe wścibinosy z klas najmłodszych nie pomogą. Co robić? Warto zaryzykować. Najbardziej niebezpieczna ma być gospodyni główna. Tydzień, dwa, sprawy z chłopcami umilkły. Porządek wzorowy. Sukces nad podziw.

Do czasu. Wypadł dyżur nieprzewidziany. Na korytarzu nie lada ożywienie, strzelanie oczu, chichoty, krycie się po kątach. Gdzie gospodyni? W sypialni? na sali? wyszła? Przeczenie warkoczyków. Wreszcie jeden dyskretny paluszek w stronę separatki. Nie ma rady, trzeba sprawdzić. Drzwi zamknięte. Pukanie, kołatanie. Otworzyć! Nikt nie odpowiada. Klucz jeden, drugi, trzeci. Wreszcie pasuje. Pani śledcza wkracza. Półmrok. Pod piecem wystraszona parka. Zdecydowany głos ku wyjściu. Nie ma nikogo.

Trzask i zgrzyt klucza w zamku. Czas na kolację. Czego się gapić? Prędeż! Korytarz pustoszeje. Śledcza patrzy w okno, jak w lustro. Drzwi z tyłu się uchylily i na palcach skrzydlaci złoczyńcy umykają.

Bez następstw? Nie tak bardzo. Gospodyni pożegnała się z internatem, a podrywacz został przez kolegów gruntownie ośmieszony jako amant w separacie. Amator kwaśnych jabłek.

Mała nie ma miny wyraźnej Nie jest pewna, czy tak należało postąpić. Usprawiedliwia się, że nie mogła inaczej. Sama wybrała taką gospodynię i nie mogła samej siebie publicznie oskarżać. Nielatwy orzech do zgryzienia. Decyduje taki czy inny punkt oceny.

Przy całej sympatii dla dziewcząt ileż zmartwień, chorób prawdziwych i symulowanych, oszczerstw, złośliwych plotek i nawet wypadków kradzieży. Nie brak też przysłowiowych owiec parszywych, groźnych dla internackiej trzódki owieczek.

Odżegnać się. Zabieg profilaktyczny wątpliwej wartości. Wyraz kapitulacji. Raczej wbrew powieści dla grzecznych dziewcząt odwołanie się do POEMATU PEDAGOGICZNEGO.

Pedagogika uodpornień jest jeszcze dziedziną stosunkowo zaniedbaną. Z dawnej za bardzo pokutują ideały. A tu na każdym szczeblu, jak mówi Mała, rzeczywistość czeka.

Po walkach klasowych i nieklasowych współżycie pokojowe. Nie mniej złożone. Ze względu na nierówny poziom przygotowania, zwłaszcza pedagogicznego, na stopień kultury osobistej, powołania zawodowego, rzetelności w pracy. Codzienne obcowanie nie bez kontrowersji, krótkich spięć, utarczek, scen od farsowych do melodramatycznych. Dobrze, jeśli bez widowni,

W większym zespole i w środowisku, gdzie łatwiej o lepszy dobór uczniów i kadry nauczycielskiej, te oraz inne zjawiska układają się bardziej pomyślnie. Stąd łatwo wyprowadzić uproszczony wniosek przeciw szkołom średnim w małych ośrodkach prowincjonalnych.

A tymczasem szkoła tego pokroju daje synom i córkom chłopskim, słabiej przygotowanym, możliwość pewniejszego awansu, niż szkoła o wymaganiach bardziej wygórowanych — nieosiągalna; jako mniej zmasowana widzi więcej ucznia, daje więcej czasu do skupienia i do nauki, ma własną opinię sąsiedzką; i co najbardziej istotne, sposobi grunt pod szkołę średnią na drodze jej upowszechnienia.

Niestety, ostatnimi czasy zdana na pedagogiczny nadzór powiatów i ich kadrowo ograniczone możliwości, miała zadanie trudne do spełnienia. Stąd szczególna wdzięczność należy się tym, co wierność zachowali od początku.

Do nich należy Mała. Wcale nie siłaczka. Oddana swojemu z powołania zawodowi, dba o godność osobistą, podnosi rangę zawodu, daje dobry przykład i mimo wszystko żyje w cieniu.

Nie ona jedna. Więc jeśli usłyszysz o szkole dalekiej, że blask z siebie wydobywa, że boryka się z niedogłosem, że ożywia i rehabilituje na pół martwą prowincję, to pomyśl, że jest tam pewnie jakaś wielkość Mała.

Nic to, że inni ją jako Małą plecami zasłonią. W swoich uczniach żyje i dalej żyć będzie. A w razie „przeniesienia się stąd na miejsce inne” w zadatkach na coraz lepszą przyszłość.

BRZOZA

„Życie Literackie”, nr 44 (188). 3 XI 1974

Drzewa, ileż ja wam winienem! Mógłbym tak zacząć, jak poezji drzew pierwszy Adam, gdyby jeszcze istniały mazowieckie przepastne puszcze, zielonym morzem szumiące nad głową.

Tymczasem nasze puszcze, Kampinoska czy Kurpiowska, pod żadnym względem do dawnych litewskich są niepodobne. Bory należą do rzadkości, lasy ubożeją, gaje nie tworzą par tanecznych. Grab zginął, brzoza owdowiała nad mogiłą kłęczą.

Mimo to drzewa są nadal ozdobą ziemi. Urozmaicają krajobraz. W bogatszym znajdują odpowiednią oprawę, w uboższym same z siebie wydobywają piękno, wbrew zbiorowemu, własne, na wskroś indywidualne. Na tle pól i łąk są bardziej malownicze.

Zwłaszcza na Mazowszu. W krainie otwartej i jakże monotonnej, gdyby nie akcenty drzew i ich zielone smyczki grające w słońcu i klawisze pluszczące w deszczu. Od Chopina, naczelnego artysty, do Broniewskiego, Orfeja drzew mazowieckich. Od dębu płockiego zaczął, ruszył w drogę z wierzbami, wodził brzozy, olchy, klony, jarzębinę, żeby z umiłowanymi topolami odejść. Z wiernymi, nadwiślańskimi, które zielone światło otwierają w stronę morza.

Smukłych, jak świece zielone, bardziej pospolitymi krewnymi są topole więcej rozłożyste, bliżej zagród skupione. Czuwają nad strzechami i ściągają na siebie gniew trzaskawic niebieskich.

Najokazalsza, strażniczka zagrody i ogniska domowego, góruje gniazdem bocianim. Zapowiada klekotem wiosnę i bardziej ożywiony przyrost naturalny w skrzydłach rozpiętych nad gniazdem.